№ 44. Warszawa, dnia 19 (31) Października 1874 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Dzień i Noc.

Dla mnie jest dzień—gdy twory wszech świata
Mienią się barwą słonecznych promieni.
Gdy łan faluje, przestrzeń łąk zieleni,
A ptak wesoło w błękity ulata.
Dla mnie jest noc—kiedy blask ten boży
Zagasł okryty nieprzejrzanym cieniem;
Gdy wszystko milczy sennem odrętwieniem,
A gad obrzydły pełznie wśród bezdroży.

Dla mnie jest dzień—kiedy w sercu brata
Tkwi miłość, wiara i nadzieja błoga,
Gdy głos wszech tworów wznosząc się do Boga,
Swięty chór modlitw i dziękczynień splata.
Dla mnie jest noc—gdy bluźniercze wrzaski,
Siłą się stłumić serafinów pienia,
Gdy człek chce zbadać tajniki istnienia,
I być prorokiem bez namaszczeń łaski.

Dla mnie jest dzień—gdy w dworku szlacheckim,
W pałacach możnych, pod ubogą strzechą,
Dzieci dla Ojców wzrastają pociechą,
A Ojciec może pochlubić się dzieckiem.
Dla mnie jest noc—gdy w pojęciach ciasnych,
Jakaś się dziwna pewność siebie rodzi;
Kiedy staremi chcą pomiatać młodzi,
I syny uczyć pragną Ojców własnych.

Dla mnie jest dzień—gdy dziewczę jak kwiatek
Rozkwita skromnie w cnót niewieścich woni,
Gdy wstyd dziewiczy je od złego broni,
Gdy córki idą za przykładem matek.
Dla mnie jest noc—kiedy w imię walki
O byt, chcą z dziewic zedrzeć białe szaty,
Płeć słabą w pychy przyodziać szkarłaty,
I w gladiatorów przemienić Westalki.

Dla mnie jest dzień—gdy dar niebios święty,
Iskrę rozumu, człek z godnością nosi;
Kiedy swe czoło nad kał ziemski wznosi,
Wiedząc, że duchem od Boga poczęty.
Dla mnie jest noc—gdy zezwierzęceni
Wśród nor plugawych kolebki szukamy,
A w swym upadku dość siły nie mamy,
By módz znieść blaski przedwiecznych promieni.

Dla mnie jest dzień—gdy wielkie narody
Przyszłą braterstwa budują osnowę,
A starIszy z dziejów rozterki wiekowe,
Kwitną wśród szczęścia, jedności i zgody.
Dla mnie jest noc—kiedy ludy świata
W zawziętym szale ujmą miecz złowrogi,
I przez miast gruzy, przez wiosek pożogi,
Jako Kaimy idą brat na brata!..

Dla mnie jest dzień—gdy człowiek mizerny,
Zgnębiony nędzą, katuszą złamany,
Tai jęk w piersi, ukrywa swe rany,
I woła w mękach: Bóg jest miłosierny!..
Dla mnie jest noc—gdy stworzenie marne
Pchnięte na próbę wyższem przeznaczeniem,
Bluźni rozpaczą, upada zwątpieniem,
I nie chce pojąć czém życie ofiarne.

Dla mnie jest dzień—gdy wiary kaganiec
Swieci nad ludem, gdy cnotliwe syny
Noszą na czołach swych krzyżyk matczyny,
W ustach modlitwę, a w ręku różaniec.
Dla mnie jest noc—gdy marna istota
Zaprze się Stwórcy i wiecznego bytu,
A miasto myślą nieba sięgnąć szczytu,
Jak podły robak wije się wśród błota!...

Ludwik Niemojowski.

Radoszewice d. 5 Lipca
1874 r.

POCZĄTEK SŁOWIAŃSZCZYZNY

według dokumentów zebranych i ułożonych

PRZEZ

W. A. Maciejowskiego.

Dawne to niezmiernie dzieje, a nieznane dotąd wydobyte z pod gruzów i pyłu tysięcy lat, niezmordowaną pracą uczonego naszego badacza W. A. Maciejowskiego, stanęły w pełni nowego światła, które dawniejsze ciemności jakie je mroczyły w znacznej części zupełnie usunęły.

Praca ta pełna trudu i mozołu, wymagała nie tylko ogromnego oczytania, zgłębienia wszystkich pomników z tak odległej przeszłości do nas doszłych, ale zrozumienia dokładnego ich ducha, obrobienia krytycznego znalezionych materyałów, uzupełnienia ich porównaniem z tem co było a co jest lub przekręconem zostało, wreszcie oddzielenia fałszu od prawdy, gawędy ludzkiej od faktu historycznego, naleciałości fantazyi od rzeczywistości. Nie dość na tem, trzeba było jeszcze walczyć z takiemi mężami jak Lelewel, Bielowski i Szajnocha, którzy wiele rzeczy zupełnie inaczej pojmowali, wiele odmiennie przypuszczali, a nie było dowodów niezbitych na razie aby ich przekonać że się mylą: trzeba było nadto z uczonymi niemieckiemi formalną przebyć kampaniją, dowieść, że starania ich nadania niemieckiej narodowości najpierwszej w świecie powagi, a jeżeli nie zupełnego sponiewierania Słowiańszczyzny to zepchnięcia jej na podrzędne stanowisko, są tylko zachciewkami i dowodem małej znajomości historyi której przekupstwem nie zmusi do kłamstwa lub pochlebstwa. Na spełnienie tego wszystkiego cośmy tu w kilkunastu wierszach opisali, trzeba było nie lat kilku ale pół wieku całego i to z nasypką: p. Maciejowski też badaniom tym poświęcił całe życie, rozpoczął je jeszcze w ostatnich latach studyi akademickich i prowadzi dotąd

z jedną gorliwością i z jednem zawsze poświęceniem. Jest to jedyny jak dziś obrońca Słowiańszczyzny w obec niemieckiej pychy, jedyny szermiesz co zbrojny powagą nauki, fałsz odpiera prawdą i z wielkiej przeszłości każe wróżyć niemniej wielką przyszłość.

Badania jednak podobne im dalszej dotyczą przeszłości, tym bardziej zawiłe, przystępne są głównie dla uczonych. Odrzucanie wszelkiej fantazyi a trzymanie się jedynie prawdy, mnóstwo przytaczanych szczegułów, zastanawianie się czasem obszerne nad jednym wyrazem, nad jego znaczeniem i początkiem, łączenie go z drugimy, porównywanie, nadaje badaniom tym barwę nużącą dla wielu czytelników, którzy radziby pomijać drogi a odrazu stanąć u celu do którego prowadzą. Takiem jest właśnie dziełko wydane przez pana W. A. Maciejowskiego jeszcze w roku 1872 pod tytułem *Dopełnienia historyi prawodawstw Słowiańskich*, które w literaturze naszej przemknęło się bez zwrócenia baczniejszej uwagi ogółu. Zanim więc mający kiedyś pisać historyą powstania Słowiańszczyzny, wywody oparte na pracy uczonego naszego badacza upowszechnią, sądzimy że zrobimy wielką przysługę czytającym nasze pismo, jeżeli odtworzymy według sił naszych obraz tak dalekiej przeszłości, która jakby zmartwych-powstała nowem obecnie zajaśniała życiem. Nie będzie on tak dokładnym jak byśmy pragnęli, ale za to będzie zgodnym z historyą o którą nam najwięcej idzie.

Jacy byli pierwotni mieszkańcy środkowej Europy, zanim utworzona Słowiańszczyzna wystąpiła na widownię dziejów, o tem historya milczy. Pozostałe tylko po niej pamiątki w szczątkach budowli nadwodnych, w narzędziach z kamieni niegładzonych wyrabianych, każą się domyślać, że takowa w różnych miejscowościach rozdzielonych wielkiemi przestrzeniami, tu i owdzie znajdowała się, mało znosząc się z sobą a może i żadnych nie utrzymując stosunków. Zaludnianie większe przestrzeni tych nowemi przybyszami, nastąpiło dopiero na jakie trzy tysiące lat przed Chrystusem a może i więcej, gdy z Azyi ludność zaczęła się przenosić do Europy południowem jej nadbrzeżem.

Co było powodem tej emigracyi ludów azyatyckich nie wiadomo, przypuszczać tylko można z wszelką pewnością, że je wyganiało z rodzinnego kraju w części przeludnienie, w części niezadowolenie z urządzeń społecznych których zmienić nie mogli, a najgłówniej pragnienie uzyskania spokojności w pracy rolnej, której się głównie poświęcali. Wśród ludów rządzonych prawem siły, u których wojak z mieczem mógł przewodzić bezkarnie nad rolnikiem plonem wydobytym z ziemi zaspakajającym swoje potrzeby, takie przewodzenie musiało być niezmiernie wstrętnem, bo nie tylko przeszkadzało rozwojowi cichej jego pracy, ale i otrzymywanie z niej korzyści robiło niepewnem. Wysuwała się też ludność rolnicza z Azyi do Europy, osiadała na jej południowych przestrzeniach, łączyła się z sobą, stowarzyszała wyrabiając właściwe sobie cechy, a gdy znowu niepokojem hord wojowniczych pobyt dalszy dla wielu stał się niepodobnym, posuwała się dalej ku Karpatom i przekraczając je osiadała przy brzegach Dunaju aż ku jego źródłom, przy brzegach Łaby (Elby) idąc od źródeł jej do ujścia, a nawet przy rzece Renie nie tylko po prawej jego stronie ale i po lewej. Przybysze ci w liczbie swej powiększając się corocznie nowemi zasiłkami z za Karpat, obejmując coraz większe przestrzenie, zajęli przeważnie dzisiejszą Szwajcaryą, Bawaryą, Wielkie Księstwo Badeńskie, Wirtembergskie, całe Arcyksięstwo Austryackie dotąd jeszcze półsłowiańskie pół niemieckie, i nosili ogólną nazwę *Polistów* pochodzącą od wyrazu *polie pole* wyłącznie językowi Słowiańskiemu właściwego, które to oba wyrazy w zachodniej Europie bardzo upowszechnione, rzucają jasne światło na charakter ludów w pośród którego powstały. Wyrazy te a szczególniej *pole, pule* przywiązane do różnych miejscowości, spotykać się dają w Morawii, w Czechach, nad Łabą, Wisłą, Dnieprem, z tej i tamtej strony Karpat, i jeżeli jak wiemy, *pole* oznacza ziemię zarówno uprawną jak dziką, to *Polista* niczem innem być nie mógł, tylko człowiekiem tem polem zajmującym się, czyli rolnikiem jak go dziś nazywamy.

Jednocześnie z tym napływem ludności rolniczej z za Karpat, w północnych stronach środkowej Europy ponad brzegami morskiemi, osiadał lud przybywający ze Skandynawji a noszący główną nazwę Teutonów. Obie te ludności przeciwne sobie w pojęciu i dążnościach, żyły jednak razem z tą tylko różnicą, że gdy Teutonowie rządzeni byli przez monarchów, *Poliści* urządzali się gminnie i gdy pierwsi dorywczo tylko pracowali w roli głównie mieczem i wojną zajmując się, *Poliści* osiadali stale przy roli i stałe w nich prowadzili gospodarstwo. Nadto u Teutonów ludność dzieliła się na cztery rzędy nierównego używających prawa, u Polistów wszyscy mieszkańcy w obec prawa byli sobie równi, a gdy przybyszów ze Skandynawji po zmarłym zabierał w spadku najmęzniejszy konie, resztę zaś mienia odziedziczał najstarszy w rodzie, u Polistów, przeciwnie wszystkie dzieci brały spadek po rodzicach, a jeżeli ci umierali bezdzietnie zabierali bracia zmarłych lub dzieci po nich pozostałe, a niewiasty miały poszanowanie,

Te były wybitne cechy odróżniające Polistów od Skandynawskich przybyszów, a choć stosunki wzajemne łączyły ich z sobą, choć rolnictwem stałem zajmowali się w części i drudzy, ale prowadzili go tylko przymusowo, wyręczając się niewolnikami i najemnikami a raczej osadnikami na posiadłościach ich rolnych pod pewnemi warunkami. *Poliści* nie znali tego rodzaju wyręczenia, prawdziwemi więc rolnikami oni jedynie byli. Z tego to zapewne powodu, mieszanie się takie Polistów z przybyszami Skandynawskiemi czyli głównie z Teutonami, nie będąc wygodnem dla zamiłowanych w rolnictwie pracowników, spowodowało większe osiedlanie się ich w okolicy Łaby i po za tą rzeką na zachód i północ aż do ujścia i źródeł Wisły i do samego morza, a choć i tu znaleźli się Teutonowie, ale *Poliści* przemagali garnąć do siebie coraz większe rzesze przybyszów, ożywionych jedną ideą pracy rolnej i urządzenia gminnego. Że zaś byli to wszyscy swoi czyli wolni, niepodlegli, gdyż wyraz Suoba czyli Swoba, znaczy tyle co *liber* wolny, *sui juris* swego prawa, i po *swowie* jak mówi dotąd nasz lud, czyli posłowie nie zepsutem naleciałością obcych wyobrażeń poznawali się z sobą, nazwali więc siebie *Swewami* i pod tą nazwą wystąpili na kartach historyi. Że nazwa ta ma źródłosłów słowiański, p. Maciejowski dorozumiewał się jeszcze tego w roku 1846, a uczony niemiecki Grym utwierdził go w tem mniemaniu zwróciwszy uwagę, że w słowiańskich narzeczach *sw* tyle znaczy co *sl* lub *sł*, ze Swewów więc czyli Slewów lub Słewów, powstała później nazwa Słowian. Pomimo jednak tej uwagi, Grym uczony Niemiec oświadczył, że Sarmatowie lud nie słowiański mógł pierwszy nazwać Niemców tem mianem a ci przenieśli je na Słowian, czyli jak powiada uczony nasz badacz, chciał odebrać to drugą ręką co dał pierwszą. W rozmowie więc jaką miał z tym niemieckim uczonym w Berlinie w lat dziesięć później w r. 1856, przekonał go, że tu nie idzie o to kto Słowian zamieszkałych na tej przestrzeni pierwszy nazwał Swewami, ale dla czego tak nazwani zostali, a że w nazwie tej źródłosłów jest czysto Słowiański więc nazwa ta z ich mowy powstała i przyjętą została na oznaczenie ludów różnych od Teutonów czyli Niemców jak ich później mianowano.

Na lat pięćdziesiąt przed Chrystusem przybywszy do Gallii Juliusz Cezar, opisując sprawy swoje opowiada, że Swewów zastał już po prawej stronie Renu mieszkających tu i owdzie, że przybyli oni tam pod dowództwem Jarowida, jak się badacz domyśla rodem Pomorszczyka a więc Słowianina, wezwani przez Sekwanów i Alwernów przeciw gnębiącym ich Eduów; że Swewowie ci zrobiwszy porządek pomiędzy zwaśnionemi ludami, coraz większą ludność z po za Renu do siebie zwabiali, i że wreszcie Cezar zaledwie wyparłszy ich za Ren wojował następnie we własnym ich kraju, zamieszkałym zarówno przez Swewów jak i Teutonów, znanym pod ogólną nazwą Germanów zupełnie nową i przedtem nieużywaną. W nazwach jednak szczegółowych tych ludów dzielono ich zawsze na Germanów Swewów i Germanów nie Swewów, gdyż różnice wybitne w prawach ich i zwyczajach domagały się tego dowodząc, że każdy z tych ludów zupełnie innego jest pochodzenia. Pierwsza to jest wzmianka historyczna o Swewach ale bardzo niedokładna, bo nie wskazująca siedzib które zajmowali. W roku dopiero 98 naszej ery, a więc w półtora wieku po Cezarze, Tacyt historyk rzymski wskazał granice ich posiadłości któreśmy powyżej wymienili.

Lecz nie same tylko niewygodne sąsiedztwo Teutonów przyczyniło się do zrzeszenia Swewów w granicach przez Tacyta oznaczonych: były tego jeszcze inne nie mniej ważne powody. Poliści osadowieni nad Dunajem ciągle byli niepokojeni napadami hord wojowniczych, i koleją przechodząc pod jarzmo Scytów i Sarmatów którzy jak powiedzieliśmy nie byli słowiańskiego pochodzenia, wybawieni wreszcie zostali z pod ich przemocy najprzód w części przez Celtów a ostatecznie przez Teutonów, którzy przy pomocy miejscowych Polistów koniec władztwu w Germanii, Scytów a później Sarmatów położyli. W czasie tych walk bez przerwy prawie trwających, Poliści owi nie czując się bezpiecznymi w obranych przez siebie siedzibach, w znacznej części opuszczali je, i łącząc sie z innemi Polistami z za Karpat przybywającymi, osiadali w Morawach, Czechach, nad Łabą, Wisłą i Dnieprem i dopiero wtenczas na widownią dziejów wystąpili, kiedy się zebrali w społeczność towarzyską porządnie już ukształtowaną. Świadectwa o ich pobycie w tych stronach są te same co o bytności innych Polistów nad Dunajem i Renem. Nazwiska gór, rzek, krajów i kraików stawiają aż nadto dostateczny dowód, że Teutonowie mieszkali tylko od strony północnego morza, a resztę przestrzeni tu i owdzie położonej zajmowali Poliści. Przebywali też tu Polanie których według świadectwa kronikarza ruskiego Nestora, uciekając przed naciskiem Rzymian, osiadali z bezpieczeństwem dla siebie nad Wisłą i Dnieprem. Wymienia ich Ptolomeusz między rokiem 138 a 161 nazywając Bulanami, a że ci byli to samo co Polanie, Polonowie, Polacy, tego dowodzą liczne świadectwa historyczne rozłożone przez p. Maciejowskiego chronologicznie.

Byli też tu i Łęczanie nieodstępni Polan towarzysze, którzy jednak wsiąkli w masę Germanów przy pierwszem wystąpieniu w historyi zjednoczonych Swewów z Teutonami dzieląc się na zachodnich i wschodnich niby na Wielko i Małopolan Westfalahi i Ostfalahi. Powody zjednoczenia tego pokryte tajemicą, domyślać się tylko należy, że stosunek dwóch tych ludów musiał być przyjacielski gdy dawniej jeszcze spowodował wspólne ich działanie przeciw Scytom i Sarmatom.

Wszystko to działo się na kilka wieków przed Chrystusem i kiedy Cezar przyszedł do Gallii,

Swewowie już stanowili potężnie uorganizowaną społeczność, którą wojować w ich własnym kraju nawet tak wielki wojownik jakim był Cezar, uznał za rzecz bardzo niebezpieczną, a poprzestał na wypędzeniu Jarowida po za Ren i w dalszą nieco okolicę.

d. c. n.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

— Tak panie hrabio, odpowiedziała panna Katarzyna prostując się majestatycznie, przychodzę prosić pana o rękę panny Fransezy de Kerouarn, dla obecnego tu mego siostrzeńca, pułkownika Henryka Darganec.....

— Którego z radością nazwę moim synem, zawołał stary hrabia.

I wyciągnął rękę do Henryka który wziął ją i wzruszony w obu swych rękach z uszanowaniem uścisnął.

— Prawdziwie wdzięcznością jestem przejęta, wyrzekła ścicha panna Katarzyna, oddając głęboki, ceremonialny ukłon, nieskończenie wdzięczną. Tu ukłon powtórny. Zaszczyt to dla nas wielki. I znowu nastąpił ukłon trzeci, jeszcze głębszy, po którym w skutek tych niezwykłych dla niej wysileń, zmęczona usiadła a raczej upadła na swe poprzednie miejsce.

— A szczególnie zdziwioną, czyż nie prawda? rzekł grzecznie staruszek. Cóż pani chcesz? Tym razem zapytywałem się córki i chętnie przyjmuje za zięcia dzielnego pułkownika Darganec, któremu winienem tę trochę życia co mi pozostaje, i którego widziałem walczącego za Francyę tak, jak ojcowie nasi walczyli, z głową wzniesioną i z modlitwą na ustach! Zatrzymuję was na obiad, i jeśli pani pozwoli, pójdę uwiadomić o tem Fransezę. Przepraszam że wyjdę na chwilę. Chodź ze mną Henryku, moja córka musi pracować na tarasie. Idź bronić swej sprawy w ostatniej instancyi, tylko się zbytnie nie rozczulaj, mój dzielny rycerzu, dodał z miłym uśmiechem. A równie pamiętaj że tu nieidzie o odebranie pozycyi Bourget Prusakom. Staraj się wszakże zachować odrobinę tej bohaterskiej postawy, która cię tak między wszystkimi odznaczała, gdyś w ogień prowadził naszych żołnierzy.

Tak żartując wesoło, poczciwy starzec odemknął małe drzwiczki i wypchnął Henryka na taras, gdzie Franseza pracowała nad jakąś robótką, w cieniu drzew pełnych kwiecia.

Pozostawszy sami, pan de Kerouarn i panna Katarzyna zabrali się do całego ciągu niezbędnych rachunków.

Zacny hrabia wyliczał, w ogólności tylko, majątek jaki córce swej zostawi, lecz panna Katarzyna mając do pomocy swój zielony regestrzyk, lubowała się w wyszczególnianiu wszystkich posiadłości, sum i sumek, składających majątek Henryka. Pod wrażeniem silnego wzruszenia, panna Katarzyna zdawała się odżywać, poczynała ruszać się, myśleć, mówić i przypominać sobie, i z jej gorącej duszy, którą przez poświęcenie była okryła lodem, wiał teraz jakby ciepły powiew zmartwychwstania.

Ożenienie Henryka przechodziło wszelkie jej nadzieje, i jakkolwiek ciężką była praca jej całego życia, żniwo jednak olśniewało ją wspaniałością swoją.

Ponieważ minęło więcej lat sześćdziesięciu jak nie zasiadała u obcego stołu, robiła trochę ceremonii w przyjęciu obiadu w Koat-an-Abat, i kiedy ujrzała się siedzącą na pierwszem miejscu, obok starego hrabiego, a mając naprzeciw siebie piękną Fransezę, której twarz szczęściem promieniała, zdało się jej przez chwilę że jest pod wpływem snu złudnego.

Wytrzymywała dzielnie znużenie tego długiego obiadu, przez zacnego starca jakby z umysłu przedłużanego pod pozorem że go za zaręczalny obiad uważać należy, i zgodziła się na przesiedzenie na tarasie aż do wieczora. Z uprzejmością i uwagą słuchając opowiadania o oblężeniu Paryża, którego stary wojak nikomu z odwiedzających go nie darował, rozpatrywała się zarazem po okolicy, przypominając sobie lata swej młodości.

— Jakaś wizyta przybywa panu, odezwała się nagle gdy wzrok jej, dobry jeszcze, padł na drogę z Quimperlé idącą.

Henryk i Franseza spojrzeli razem przez gęste liście wijącego się kaprifolium.

— Wszak to ciotka Marya-Ludwika, jeśli się nie mylę!— zawołał Henryk.

— To ona! — dodała młoda dziewczyna.

— Marya-Ludwika nie mogła domu opuścić, gdy mnie w nim nie ma, twierdziła poważnie panna Katarzyna, więc to nie może być ona.

— Wszczął się spór między młodemi a staremi oczyma, a panna Katarzyna powtarzała spokojnie: „To nie może być Marya-Ludwika," kiedy bezbarwna panna ukazując się już na tarasie, stanowczo twierdzenie jej obaliła.

Biedna Marya-Ludwika! Jakże się wstydziła stanąć przed panną Katarzyną, która patrzyła na nią z największem podziwieniem: jakże bojaźliwie przedstawiała się w Koat-an-Abat, gdzie wcale spodziewaną nie była. Wymówiła kilka słów niezrozumiałych, zapewne na wytłomaczenie obecności swojej i naglącego interesu, a jednocześnie dostała z kieszeni, wielką ostemplowaną niebieską kopertę, którą Henrykowi podała.

W małych miasteczkach, telegraf rzadko jeszcze był czynny dla partykularnych korespondencyi, depesza więc telegraficzna zapowiadała zwykle ważny, a zwłaszcza pilny interes.

Henryk poprosiwszy o pozwolenie przeczytania depeszy, otworzył ją z wielką spokojnością, lecz przebiegając ją oczyma pobladł tak bardzo, że Franseza mimowolnie zawołała:

— Wszak nie o Annę chodzi, czy prawda?

Henryk odpowiedział jej przeczącym ruchem głowy i spojrzeniem którego głęboki, niewypowiedziany niepokój, zupełnie zwykły mu blask przygaszał. Pomięszanie jego nie uszło uwagi obecnych osób i wszyscy umilkli, patrząc z przerażeniem na ten szeroki niebieski papier, drżący w jego silnej dłoni.

Pierwsza Franseza przerwała milczenie, którego nikt przerwać nie śmiał.

— Czy nie mam jeszcze prawa wiedzieć co tak bardzo pana poruszać może? — zapytała Henryka tonem słodkiego wyrzutu.

— Pani masz wszelkie prawa — odpowiedział Henryk głosem przytłumionym — nawet prawo powiedzenia mi otwarcie, czym krajowi dług mój wypłacił.

— Możesz że pan pytać o to? — zawołała drżąca Franseza.

— A pan co mówisz na to, panie hrabio? — ciągnął dalej Henryk zwracając się do pana de Kerouarn — czy Francyi dług mój spłaciłem?

— Z lichwą go wypłaciłeś — odpowiedział starzec — więcej niż sto razy życie swe narażając, z bohaterskiem prawdziwie poświęceniem.

— Czy takie ciotko Katarzyno jest i twoje zdanie?

— Zupełnie takie — odpowiedziała zamyślona staruszka.

— Lecz jeśli nie wszystko jeszcze skończone? Wymówił ścicha Henryk, z wyrazem boleści głowę pochylając,

— Wszakże skończone! — z żywością zawołała Franseza — ten ohydny traktat pokoju, wszakże czczą formalnością nie jest, jak mnie się przynajmniej zdaje?

Henryk rzucił na nią spojrzenie pełne tęsknoty i miłości.

— Francya ma nieprzyjaciół straszliwszych aniżeli żołnierze króla Wilhelma — mówił młody oficer; Paryż cały jest w ręku rewolucyi; potrzeba będzie prowadzić regularne oblężenie miasta, ażeby wyprzeć z niego zbuntowanych federalistów. Położenie jest trudniejszem niżeśmy to sobie wyobrażać mogli. Jeżeli wojska wezwano do Wersalu nie pozostaną wiernemi, zginie rząd, armija i Francya; anarchya zapanuje, anarchya rządzić będzie. Patrzcie sami. Ta depesza podpisana jest przez człowieka którego ani zamiarów ani świadectwa podejrzywać nie mogę.

Henryk podał depeszę która zawierała te słowa:

„Ojczyzna w niebezpieczeństwie, walka bratobójcza, wojna domowa. Zbawienie Francyi zawieszone na włosku. Zbierajmy armiją; zwyciężymy jeżeli pułki zachowają duch dobry. Należy się poświęcić, śmiało prowadzić ich do szturmu. Żołnierz cię kocha, żołnierz pójdzie za tobą. Liczymy na ciebie. W imieniu Francyi, bądź tu jutro!

„General C...“

Z drżących rąk młodej dziewczyny depesza przeszła w ręce pana de Kerouarn, a następnie panny Katarzyny, która ją przeczytawszy, w milczeniu Henrykowi zwróciła.

— Okropne położenie! to prawda! — rzekł hrabia głosem złamanym; — zdawało się żeśmy do dna wychylili czarę upokorzeń: brudne męty zostały!

Henryk smutnym wzrokiem patrzył na Fransezę, która piękną są twarz w obie dłonie ukryła.

Jak postąpisz Henryku? — zapytała nagle panna Katarzyna.

Fizyognomja Henryka przybrała wyraz bardziej jeszcze ponury, lecz nie przerwał bolesnego milczenia.

— Zapewne, spłaciłeś, jak sama to przyznałam, dług twój krajowi — mówiła stara panna z wielkiem ożywieniem;— lecz czy to ma znaczyć, że wszelkie rachunki już skończone?

— Zapłaciłem dług krwi, zapewne—odpowiedział Henryk po chwili;—pozostaje teraz dług honoru.

— Dług honoru, tak, dobrze mówisz! — zawołał stary weteran—ach! gdybym był młodszy!

— Mój ojcze! wszak przysiągłeś: że już nigdy nie opuścisz mnie więcej!—zawołała Franseza odkrywając twarz swoją łzami zalaną.

Pan de Kerouarn uderzył po swych ostro wystających kolanach.

— Bądź spkojną, nogi już na nic—rzekł on—ostatnia kampanja nóg mnie pozbawiła; zdałbym się do inwalidów tylko; a więc bądź spokojną, dla mnie skończone już wszystko, skończone niestety! Nie o mnie tu chodzi, lecz o Henryka. Na cóż więc decydujesz się, mój dzielny chłopcze?

— Czy radzisz mi jechać, panie hrabio?

Hrabia obie ręce zanurzył w swe białe włosy.

— Dziś nie znajduję dość odwagi, aby ci dawać tę radę—odpowiedział—sprawa w tem jest delikatniejszą, że nie idzie tu wcale o obowiązek; obowiązek

swój spełniłeś zaszczytnie, zatem to już kwestya wspaniałomyślności.....

Henryk zwrócił się do ciotki i zapytał:

— Ciotko Katarzyno, czy twoje zdanie jest abym jechał?

— Henryku, ja zdanie moje zachowuję dla siebie; zanadto uczuć i interesów obecnie jest dotkniętych, i zawszem widziała, że wspaniałomyślność z własnego natchnienia wypływa.

Nastała chwila milczenia, milczenia bolesnego.

Nagle Henryk powstał i zbliżając się do Fransezy rzekł do niej głębokim i wzruszonym głosem:

— Nie tylko wspólne uczucie wiąże nas teraz, pani stałaś się najwyższym sędzią mego losu. Do pani więc należy postanowić w tej kwestyi życia lub śmierci.

I upuszczając depeszę na kolana młodej dziewczyny, sam skrzyżował ręce na piersiach z wyrazem jakiejś dziwnej rezygnacyi.

Śmiertelny pot wystąpił kroplami na skronie Fransezy; pochylona, z rękami jakby do modliwy złożonemi, nie spuszczała z oczu Henryka, a potem zamykała powieki i twarz w dłoniach ukrywała.

Nagle krew do skroni jej nabiegła, a podnosząc swe piękne czoło odezwała się głosem drżącym i pełnym niewysłowionego niepokoju:

— Jak śmieć marzyć o szczęściu w tak okropnej chwili? Ach! Henryku, odpowiedz na wezwanie Francyi, ja cię nie mogę zatrzymać!

Henryk wziął ją za rękę i z uszanowaniem przyciskając do ust swoich:

— Będę ci posłuszny — odpowiedział.

Staruszek zerwał się na nogi z siedzenia swego, wyprostował się i zwracając się jednym ruchem do panny Katarzyny:

— I utrzymują że Francya zginęła! — zawołał patryotycznym zapałem — o! żyje ona i dobrze żyje! lepszego dowodu nad takie poświęcenie być nie może.

XXVII.

WIDMO CZERWONE.

Powtórny terroryzm panuje w Paryżu. Paryż, zaledwo oswobodzony od nieprzyjaciół zewnętrznych, za gardło jest duszony przez wewnętrznych barbarzyńców; Paryż nie wypił jeszcze całej hańby swej klęski, a już na dnie kielicha widzi krew i błoto, które do ostatniej kropli wypić musi; Paryż wychodzi z rozpaczy, ażeby wpaść w przerażenie, a sam widok Paryża ukazuje, dla tych co mają oczy aby widzieli, że po za znikającem widmem niemieckiem, powstaje ohydna postać czerwonego widma, które nie może zwyciężyć jak tylko najokropniejszą ze wszystkich wojen, wojną bratobójczą na ulicach.

Ponure odgłosy wojny nie zakłócają już spokojności, nie sprawiają już drżenia nieszczęśliwym mieszkańcom Paryża; sklepy nie są już smutnie pozamykane, firanki i okiennice nie są szczelnie przymknięte; nieprzyjaciel który bombardował stolicę ustępuje z łupem swoim, a jednak żaden objaw żywotności przemysłowej, handlowego ożywienia, nie ukazuje się jeszcze.

W obec tych ulic bezludnych, tych niespokojnych twarzy, tych oddziałów uzbrojonych gwardzistów narodowych ulice przebiegających, chciało by się zapytać: gdzież jest nieprzyjaciel?

Jest nieprzyjaciel w powietrzu; przeczuwa się go, oddycha się nim niejako, i bezpieczeństwo publiczne nie wraca.

Jeżeli ulice są puste, na bulwarach za to roją się ludzie; bulwary są przepełnione tym tłumem obojętnym, który raz zdala będąc od doniosłości granatów, bawi się, je, pije, pali, przechadza się, stroi i paple, z zimną krwią którą jedni nazywają nieustraszonością, a inni egoizmem zowią. W środku miasta który uszanowały pociski pruskie, lecz gdzie teraz właśnie porusza się widmo czerwone, jest jeszcze ruch i jakiś pozór życia; gdzieindziej, nic nie ma więcej jak tylko ponure oczekiwanie i niepokój nieokreślony, a na ulicy gdzie obecnie się znajdujemy, nie przechodzi ani jedna istota którąby nie starała się przejść jak najprędzej.

Brat Filip nawet, sam brat Filip, który od lat trzydziestu jednostajnym, miarowym stąpa krokiem, brat Filip którego nikt spieszącym się nie widział, zdąża za szybkim krokiem Anny przed nim idącej po trotuarze strony prawej.

Na równi z kościołem, nasi przechodnie zatrzymani zostali przez rodzaj zgrai rozmamanej, nieporządnej, która niespodzianie wylała się na ulicę jak potok wezbrany.

Ci biedni gwardziści narodowi ściągali na siebie szyderskie śmiechy przekupek, stojących we drzwiach swoich sklepików.

— A! otóż i dzielni obrońcy kraju, wołały one ściskając ramionami; otóż i śliczni żołnierze komuny.

A gestami popierając słowa swoje, wskazywały palcami jedno lub drugie indywiduum niepoczesnej powierzchowności. Drwiny ich z resztą dobrze wymierzone były, i przed tą hordą prędzej się zarumienić niż drżeć można było. Trzy dobrze odróżniające się żywioły ją składały: młode wyrostki opite i bezczelne, ludzie w pewnym wieku po większej części ułomni lub niedołężni, i oficerowie, często bez wąsów jeszcze, lecz wszyscy przybierający dramatyczne postawy i pyszniący się swemi łatwo zdobytemi, improwizowanemi galonami. Z resztą, w całej tej kolumnie, żadnego porządku, żadnej dyscypliny, słowem nieład zupełny.

— Ich armija nie zdaje mi się bardzo straszną, rzekła Anna głosem cichym do swego sędziwego towarzysza.

— Jest nią jedynie przez środki działania jakie dowódzcy ich w rękach swych mają — odpowiedział brat Filip;— ci obywatele-żołnierze tworzą najgorszy w świecie garnizon, lecz twierdza okazała się być niedostępną.

— Czy sądzisz wuju że ich opór jest możebny?

— Wszystko jest możebne wśród niemożebności jakie nas otaczają.

— Zdajesz się być zniechęcony, mój wuju, rzekła Anna.

— Jestem zrezygnowany, lecz rezygnacya moja smutna. Wczoraj, widząc na bulwarze przechodzącą podobną zgraję, pośród tysięcy ludzi siedzących przy małych stolikach restauratorów, uczułem że wszystko jest możebne, w mieście w którem ci co ich nazywają konserwatystami, wszystko czynić dozwalają. Tak łatwem było rozbroić tych śmiesznych żołnierzy! Ale nie, przechodzili jakby panowie, i przejść im pozwolono.

Powtórne westchnienie podkreśliło te słowa, i pan Filip wysunął się o parę kroków przed Anną, po trotuarze już wolnym teraz.

Lecz znowu, dalej nieco, spotkali się z drugą podobną gromadą, która ukończywszy parady wojskowe, zabawiała się w deklamacye na otwartem powietrzu. Dość znaczna ilość tych ludzi ściśnionem kołem otaczała oratora, który wykrzykiwał przeciw reakcyi i wkrótce pociągnął swych słuchaczy do kawiarni, dobrze znanej w tej części miasta.

Anna i brat Filip postępowali za nimi ze zwieszoną głową, słuchając z pewnym rodzajem wstydu ich zdań niedorzecznych i dzikich śpiewek.

Nagle śmiechy zamieniły się w ponure przekleństwa, i Anna podnosząc głowę, ujrzała kilku gwardzistów i kilku wyrobników w bluzach, grożących pięściami małemu i cichemu białemu domkowi, na którym powiewał jeszcze sztandar Genewski.

— Te gesta oznajmniają nam żeśmy przybyli— odezwał się z uśmiechem pan Filip.

I lekko zatrzymując za ramię jednego człowieka w bluzie, który z wielkiego zapału, aż obie pięście podnosił ku niewinnemu budynkowi:

— Kto tam mieszka mój przyjacielu?—zapytał.

— Te łotry papieżniki, obywatelu—odpowiedział wyrobnik.

— Dla czegoż tak osobiście nienawidzisz papieżników?

— Dla czego?

— Tak, dla czego? bo jużciż, nie może być skutku bez przyczyny.

I brat Filip przyciągał zwolna ku sobie wyrobnika za rękaw jego bluzy.

Wyrobnik zaambarasowany, drapał gęstą swą brodę machinalnie powtarzając: Dla czego?

— A więc—ciągnął brat Filip—nie wiecie dobrze dla czego nienawidzicie papieżników, którzy jednak nigdy nic złego wam nie zrobili, a także zarówno nienawidzicie religii, która jest sprawiedliwością, prawdą i bohaterstwem.

— Ja wolność tylko kocham! — wykrzyknął wyrobnik.

— Czy nawet wolność czynienia złego, mój przyjacielu? Tej tylko jednej religija nie dozwala. Im więcej się jest religijnym, tem bardziej szanuje się wolność drugich.

Głos łagodny i przejmujący brata Filipa uczynił wrażenie na robotniku, będącym nieoświeconym grubianinem, lecz mającym fizognomję bardzo uczciwą.

— Eh! tyle mi nagadano, że już w nic nie wierzę— mruknął zniechęcony.

— Powiedz że mi przyjacielu, dla czegoż chętniej wierzysz nieprzyjaciołom religii, aniżeli genialnym ludziom którzy nas jej nauczają?

— Papieżnicy genialni! — szydersko zaśmiał się człowiek.

— Zapewne, święty Tomasz, święty Augustyn, Bossuet i tylu innych, byli to ludzie genialni.

— A więc stracili swój geniusz; religja obałwania.

— Nie stracili go wcale, to was tak oszukują; zastanów się sam mój przyjacielu i porozumujmy sobie trochę.

— Ba! na co to się zdało! dobrze nam to mówiono, człek umiera i wszystko skończone; ziemia jest okrągłą. Ja już w Boga nie wierzę, ale wierzę w Chrystusa, który był człowiekiem. (*)

Spokojna twarz brata Filipa poczerwieniała, jego wielkie jasne oczy błysnęły z pod swych brwi białych, a sędziwa głowa zatrzęsła się z oburzenia.

— Jakiż to nędznik tak naigrawał się z waszego rozsądku?—zawołał głosem drżącym.

— Mego rozsądku?.... oni wszyscy mówią że mają rozum.

— Oszukują was, żartują z was sobie. Lecz kiedyż wy nareszcie otworzycie oczy? Czy na miejsce szczęścia wiecznego które wam odbierają, dali wam bogactwo, które jest szczęściem tego świata?

— Nie, lecz ono samo przyjdzie, bo my je sami weźmiemy.

I wyrobnik zacisnął pięście.

— A gdziesz je weźmiecie?

— Tam gdzie ono będzie.

— I to będzie zemsta Boża, mój przyjacielu. Widzisz te drzwi którym pięściami grozisz? Wyłam je w dniu rewolucyi, i cóż tam znajdziesz? Mężczyznę lub kobietę którzy wyzuli się dobrowolnie z dostat-

---

(*) Historyczne.

ków tego świata, którzy się modlą lub uczą, którzy żyją dla drugich. Idźcie! lecz idźcie także do tych, którzy przez pisma swe lub szyderstwa odjęli wam wiarę, i przyjdźcie mi opowiedzić co tam obaczycie. Choć raz bądźcież loiczni, i zacznijcie od obdarcia tych, którzy obdzierają was z nadziei nieśmiertelnych. Podzielcie się wprzódy z tymi fałszywymi braćmi, zanim przyjdziecie grozić prawdziwym przyjaciołom ludu, prawdziwym dobroczyńcom nieszczęśliwych.

Kiedy brat Filip wymawiał te słowa, czyjaś ręka schwyciła lewą rękę jego słuchacza.

— Porzuć że już tych ludzi — zawołał głos pijacki—czy nie widzisz że to jakieś łotry Wersalskie.

Biedny człowiek potrząsł silnie obu rękami i uwolniwszy się od rąk które go z obu stron przytrzymywały, oddalił się mrucząc coś pod nosem.

Brat Filip westchnął, i wszedł do domu nienawidzonego, w którym wszystko tchnęło miłosierdziem i modlitwą. Tam, żadnego dumnego odźwiernego, żadnej nadąsanej stróżki, lecz poczciwy cichy braciszek, spokojnie się przechadzający po swym oszklonym przedpokoju.

d. c. n.

LIST TRZECI

Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,

w Ameryce północnéj

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Same wozy, czyli jak tu zowią kary urządzone jak owe w Szwajcaryi, gdzie konduktor może się przechadzać przez całą długość powozu. Każdy kar mieści 40—50 siedzeń, 2 piece żelazne, naczynie z wodą, umywalnię i wygódkę. Pani Wasza która nigdy nie wsiada do pociągu bez sporego kosza pełnego żywności, trzymając się w tym względzie staropolskiej mody, mogłaby więc świat objechać w takim karze bez wysiadania. Gdyby jednak musiała znosić wszystkie przykrości jakie wychodźcy tu znoszą zanim dostaną się do wagonu, pewnoby nigdy do nich nie wsiadła lecz kazałaby się z pół drogi odwieść do hotelu.

Właściciele biletów emigranckich najpierw muszą się udać do Castle garden. Ztąd odwożą ich kufry do dworca, samych zaś pędzą w podwójnym szeregu przez ulice, pod dozorem dwóch urzędników, z których jeden idzie przed a drugi za nimi, gawiedź zaś wytyka greenhornów palcami, buda zaś oczekująca na ich przyjęcie i odgrywająca rolę sali do czekania, niewygląda lepiej od stajni. Na ławach z tarcic muszą siedzieć przez kilka godzin, gdyż pociąg emigrancki chociaż niby to powinien odejść o 4 wieczorem nieodchodzi czasem przed 9-tą. Jest to zwykły towarowy pociąg z kilkoma karami dla podróżnych, wysyłają go więc kiedy im to na rękę.

Wyobraźcie sobie położenie panienek i pań siedzących w tej budzie w pośród źle ubranych Niemców i obrzydliwych Włochów, nierozumiejących i słówka po angielsku, lecz wrzeszczących swemi zepsutemi narzeczami. Urzędnicy kolejowi każą im samym dźwigać kufry i nie wydają biletów na pakunki podróżnych aż do chwili, gdy wypada je zważyć. Tymczasem sam musisz doglądać by ci nie skradziono kufra.

Wreszcie każą ważyć rzeczy. Prawa kolejowe tutejsze uwzględniają zwyczaj amerykański ważenia ogromnych tłomoków, bo nawet w drugiej czyli emigranckiej klasie, pozwalają wieźć cetnar pakunków.

Zjawiają się nakoniec kary. Wyglądają brudno przy świetle jednej lampy gorejącej w ich wnętrzu. Siedzenia w nich nie obite, każdy kar przepełniony ludźmi.

Na widok tak nędznych wozów i wiadomość iż kilka dni i nocy wypadnie w nich przesiadywać, łzy poczęły płynąć z oczu angielek. Pocieszałem jak mogłem słowami, nawet nie wiem czy dla dodania otuchy nie ściskałem pięknych rączek. Koniec końcem wsadziłem je do powozu, i młode i starsze lgnęły do mnie i jakoś markotno mi się zrobiło gdy wypadało żegnać je i opuścić rączki trzymające się mnie jakby ostatniej jedynej podpory. Musiałem jednak odejść gdyż pociąg wyruszył.

Biedaczki! Ja, znajomy ich z okrętu byłem ostatniem ogniwem łączącem je ze starym światem. Odtąd już tylko ujrzą nieznane twarze, kraje wyglądające obco i dziko. Już nie znajdą owej czułej opieki jaką rozciąga mężczyzna nad damami znanemi mu, bo chociaż każdy w Ameryce grzeczny względem kobiet lecz grzeczność ta nie rozciąga się aż do zajmowania ich wygodami w podróży.

Jedźcie, i niech szybko wam upłyną ciężkie dnie waszej dalekiej jazdy. A jak one ciężkie sam się dowiem jutro, gdy w podobnym pociągu puszczę się na Zachód.

Trzeci dzień pobytu w Nowym Yorku poświęciłem dla poznania się z osobami, do których miałem listy polecające. Nie mając prawa opisywania szczegółowo pożycia w domach do których mnie wpuszczono, ograniczę się na wzmiance o dwóch osobach należących do świata literackiego.

Pierwszy dom do którego się udałem był amerykański, pani Walker Cook, poetki znakomitej i współpracowniczki słynnego pisma *Harper's* Weekly. Wielka to zwolenniczka literatury polskiej i zna dokładnie całe piśmiennictwo słowiańskie z tłomaczeń francuzkich. Polaków wykształconych chętniej widzi w swym domu jak innych gości, a długie lata pracy poświęciła na przetłomaczenie znakomitych naszych wieszczów na język angielski. O tem wszystkiem wiedziałem już w Europie, wiedziałem także iż mieszkała w Hoboken, za rzeką Hudson. dzielącą stan New Jersey od Nowego Yorku.

Od Washington square do brzegów Hudsonu spory kawał i kary nie idą, bo wszystkie tramwaje zdają się biedz pod prostym kątem ku ulicy Broadway i łączyć tę główną arteryę miasta z jego dzielnicami. Poszedłem więc pieszo ku rzece, przez szerokie ulice wysadzone drzewami, zabudowane na sposób londyński małemi o dwóch piętrach kamieniczkami, odgrodzonemi od chodników sztachetkami.

Gdyby nie bruk okropny, cuchnące kałuże w rynsztokach i mnóstwo nawpół zgniłych jarzyn wśrodku ulic, nazwałbym Nowy York pięknem miastem. Lecz przyzwyczajony do schludności angielskiej nie mogę wyrażać się pochlebnie o stolicy, która choć z przytykającem do niej miastem a raczej przedmieściem Brooklyn liczy 1,400,000 mieszkańców, nawet ulicznych zamiataczy nie utrzymuje.

Policyi także nie wiele ujrzysz po ulicach, by zapytać o drogę. Wskutek dawno nabytego zwyczaju nie lubię zaczepiać przechodniów, długo więc błądziłem po chodnikach nie wiele lepszych jak środek ulicy, zanim ujrzałem jegomości ubranego w kapelusz czarny i granatowy surdut zwykłego kroju. Po blaszce niewielkiej na piersiach i pałce konstablowskiej u boku poznałem w nim stróża bezpieczeństwa i zapytawszy go o drogę do Hudsonu, odebrałem odpowiedź bym minął pierwszy block, czyli kwadrat domów.

Zaledwie to uczyniłem rozwinął się przed oczyma przepyszny widok. Rozciągał się prze demną pas wody na ćwierć mili polskiej szeroki ożywiony już to okrętami budowy morskiej leżącemi na kotwicy, już to owemi jak dwupiętrowe kamienice wyglądającemi parowcami, używanemi do podróży po rzekach i jeziorach amerykańskich. Za mną ciągnęły się szeregi ulic wysadzonych pięknemi klonami. Na przeciwnej stronie rzeki wznosił się łagodnie długi łańcuch wzgórz. Stopy ich są otoczone budynkami przedmieścia Hoboka, na stokach wille i ogrody letnie były rozsiane.

Za 5 centów przewieziono mnie na drugą stronę wody. Z zadziwieniem ujrzałem iż co drugi sklep lub szynkownia w Hoboken nosiły napis niemiecki. W Nowym Yorku bowiem prawie wszystkie napisy brzmią po angielsku.

Dom pani W. Cook stoi blisko rzeki. Jest to typ domu mieszkalnego nie bogatej lecz dobrze się mającej rodziny amerykańskiej. Ogródek mały lecz schludny oddziela go od ulicy, parlor czyli bawialnia w której mnie przyjęto wysłany kobiercem. Pełny mebli na wygodę obliczonych i gustownych świecideł dowodził, iż właścicielka jego uwzględniała i komfort i piękno. Obraz święty wiszący na ścianie wskazywał iż jestem gościem katolickiej rodziny.

Pani W. C. osoba już wiekowa znała me nazwisko. Przyjęcia grzeczniejszego i serdeczniejszego jak od niej nie doznałem w życiu, mąż jej również uprzejmie uścisnął mnie za rękę, a inne panie bawiące w pokoju zdziwione zrazu, iż cudzoziemiec i nowy przybysz do Ameryki w ich rodzinnej mowie dobrze się wyraża i zupełnie się stosował do angielskich zwyczajów, wnet również wmieszały się żywo do rozmowy. Każda z nich posiadała ową dystynkcyę nie często spotykaną po za Europą, prócz tego uważałem iż wykształcenie ich nie ograniczało się na sztuce gładkiej rozmowy. Pociąg amerykanek do oddawania się literaturze poważnej i naukom u nas tylko mężczyznom pozostawiony, widocznie wpływał i na ich wychowanie.

Pani W. C. zapewniła mnie iż choć nie w każdej rodzinie amerykańskiej spotkam tyle salonowej ogłady jak w Europie, lecz gruntowność cechuje i kobiety i mężczyzn. Wielu z nas, mówiła, rzuca się już bardzo młodo w świat i w walce o dorobienie się majątku zaniedbuje powierzchowności. Shop (sklep) cuchnie z takich osób przez całe życie, czy to w salonie czy w Kongresie. Pomyliłbyś się pan jednak, gdybyś myślał iż ludziom takim zbywa na oświacie. Chociaż ją nabywają po największej części własną pracą i są self educated (wychowani bez nauczycieli), umieją tak wiele i gruntownie jak owi przemądrzy niemcy, przybywający do naszego kraju by nas nazywać know nothins (nieukami).

I tu jak w Australii, Europie, Azyi i Afryce spotykam znów niechęć ku Niemcom! Czy to wyrobnik irlandzki w Nowym Yorku, czy jedna z najwykształceńszych literatek, wszyscy z pogardą i żółcią wyrażają się o Teutonach.

Wpadłszy na temat taki, badałem o szczegóły pożycia Niemców w Ameryce. Dowiedziałem się iż jak wszędzie tak i tu cechuje ich służalczość póki słabi i rozproszeni, arogancya gdy silni i skupieni, że są wybornemi sługami a nader złemi panami. Pani W. C. tak dalece posuwała ku nim swą niechęć iż zamyślała wynieść się z Hoboken zalanego Niemcami.

— „Gdyśmy ten dom zbudowali, rzekła, tylko łąki i zieleń oddzielały nas od Hudsonu, a Hoboken było ciche i miłe jak raj. Jakaś kompanija parowców hamburgskich założyła tu później swe depot, odtąd tysiące Niemców tu się osiedliło i przekształciwszy co drugi dom w Lagerbiersalon (piwiarnię), zmienili mieścinę w pandemonium. W Niedzielę w nocy krzyki pijących po knajpach i dźwięki muzyki zasnąć nam nie dozwalają.

Pani ta mocno żałuje iż tysiące Polaków osiadłych w Nowym Yorku lub bezustannie doń z Prus przybywających, żyje w skutek nieznajomości języka angielskiego, li z Niemcami i głosuje z niemi przy wyborach i przesiąka nihilizmem niemieckim. Zasady Schoppenhauzera, nowego Mahometa niemieckiego, mówiła, już nawet w massy tego narodu wsiąkły, pessymizm wpływa na ich moralność, powodzenia zaś niedawne pozbawiły ich już przeświadczenia że są inne prawa rządzące światem jak sama siła fizyczna.

Co do literatury naszej, to nie wielu Polaków tak ją zna zgruntu jak ta amerykańska dama. Tłomaczenie Irydyona jej pióra jest prześliczne. Powiadała mi iż raz pokazała je słynnemu dyrektorowi teatru i krytykowi dramatycznemu panu *Rooth*, i ten wyrzekł bez wahania iż oprócz Szekspira, żaden poeta jemu znany nic tak wzniosłego nie napisał. Gete (o którym pani ta ma wcale niekorzystne wyobrażenie, mówiąc iż to nie był człowiek czujący jak inni, lecz szatan stojący na uboczu i z szyderczą miną studyujący serca ludzkie, nic podobnego nie napisał wedle jej przekonania.

Nie mógłbym się zgodzić na tę część jej wyroku o Niemcach, jak też na inną odmawiającą ich autorom oryginalnej twórczości i dowodzącą, iż nie tworzą sami głębokich myśli, lecz obrabiają i wyzyskują cudze, a będąc pracowitszemi od innych ludzi umieją stawiać wielkie gmachy z kradzionych marmurów. Przytaczam te zdania jej li jako dowód, jak dalece nienawiść narodowa może wpłynąć nawet na literacką krytykę.

Oprócz polskiej literatury pani ta zna dokładnie rossyjską. Poeci rossyjscy nader jej przypadają do smaku.

Pożegnałem dom ten gościnny w pośród ogólnych zaprosin bym częstym stał się gościem. Niestety! już nazajutrz opuściłem Nowy York i nigdy już może nie uścisnę ręki, która tyle dobrego czyniła i czyni dla wielu mych znajomych. Gdziekolwiek jednak będę, czule muszę wspominać tę rodzinę amerykańską, która dała mi poznać jak wielce się różnią wykształcone warstwy tutejszego społeczeństwa od owych spanoszonych dorobkiewiczów; sypiących dolarami po Paryżu i Szwajcaryi. Nawet bezzasadna nienawiść ku Anglii, matce przecież tej córy przerastającej rodzicę, nieistnieje w rodzinach czytających i myślących.

Od domu p. W Cook do domku w którym mieszka pan Horain, zacny weteran literacki znany Wam tak dobrze kochany Redaktorze, dojechałem tramwajem wijącym się na szczyt malowniczego pagórka ku Jersey City, zbiorowiska letnich dworków mieszczan Nowego Yorku.

Jeżeli śmieliście się kochany Redaktorze z megoz angliczenia i zamiłowania w Australii, cóżbyście powiedzieli gdybyście spotkali pana Horayna nie młodego już, nie mówiącego po amerykańsku i ledwie trzy lata tu mieszkającego a już zakochanego w Ameryce. Przyjął mnie jednak z gościnnością godną Litwina i jakby jeszcze mieszkał na swoim folwarku, chciał mnie zwerbować na tydzień w gościnę.

— „Mam pokoik wolny a przy stole znajdzie się wolne miejsce i dla Was!“

Złote to serca bywają na świecie!

Pokochał schorowany staruszek Amerykę, chociaż ciężkie i tu poniósł pieniężne straty. Jak większa część osób przybywających z małemi funduszami do Nowego świata, stracił co przywiózł w skutek niedoświadczenia i szło mu tępo przez długi czas w pośród przebiegłych Yankesów.

— „Wszyscy my tu przeklinamy z razu Amerykę. Później jednak otwiera się pole spożytkowania naszych wiadomości i chęci do pracy, odkrywamy dobre strony mieszkańców, poczyna nam też wieść się lepiej, większa część wnet odzyskuje co straciła a w końcu wywalczy sobie byt dobry. Dziatwa nasza rośnie zdrowo i nabywa pracowitości, ludzie im bardziej poznają nas i przekonywają się o poczciwości naszej, co raz więcej nas lubią i wspierają, i zwolna znika owa tęsknota za krajem i chęć powrotu do Europy, trapiąca nas w pierwszych latach pobytu.

Opowiadał on mi jak po samarytańsku obchodzili się z nim Amerykanie gdy dziatwa mu chorowała na szkarlatynę, jak ich to dziwiło gdy z dumą wyższego człowieka odmówił pomocy od gminy gdy był w potrzebie. Dziś prace literackie i inne sposoby uzyskiwania dochodu, na jakich nie zbywa na tej ziemi. zapewniają mu byt i dostarczają środków do kształcenia dzieci. Wątpię by już kiedykolwiek wrócił do Warszawy, tak mu przypadła do smaku nowa ojczyzna.

d. c. n.

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Ze Lwowa w Październiku.

Dzięki naszym żydom zagranica zaczyna stawiać Galicyę na równi z krajami na pół ucywilozowanemi, a w najlepszym razie na równi z Romanią i Serbią. Z Galicyi bowiem a szczególniej ze Lwowa, otrzymują niemal co drugi dzień dzienniki wiedeńskie korespodencye z okropnemi szczegółami o prześladowaniu całego plemienia izraelskiego. Według tych korespondencyi na żydów galicyjskich sprzysięgła się szlachta, mieszczaństwo, lud wiejski, inteligencya i pospólstwo ciemne. Osobliwie Gazeta Jana Dobrzańskiego uchodzi w Wiedniu za okropnego żydożercę, który „braciom mojżeszowego wyznania“ wydziera wszelkie źródła „zarobkowania“, rzuca na nich niegodziwe oszczerstwa i podburza przeciw nim ciemne masy. Tak dalece niepokoi żydów Gazeta, że ich stowarzyszenie polityczne Szomer Israel, wystosowało sążnisty memoryał do ministra sprawiedliwości z rozmaitemi cytatami. Memoryał żąda, ażeby prokuratoryi polecono konfiskować Gazetę niemal codziennie za wycieczki przeciw żydom. Dzienniki wiedeńskie produkowały dosłownie cały memormyał i zrobiły tam wielką, europejską reklamę dziennikowi, którego już od lat kilku strawić nie mogą. Za granicą po wydrukowaniu tego memorjału pewni są wszyscy, że Gazeta trzęsie całą Galicyą. Będzie to jedyny skutek memoryału, bo Gazeta jest nadto ostrożną, ażeby niezręcznem propagowaniem swoich dążności narażała się na konfiskatę, której uniknąć umie łatwo bez najmniejszej ujmy dla wytkniętego celu.

Nie przeczymy, że walka ekonomiczna z żydami rozwinęła się na wielkie rozmiary w całym kraju od chwili, gdy żydzi połączywszy się z wiedeńskiemi centralistami przy wyborach, odegrali rolę wprost nieprzyjazną dobru kraju. Ale walka ta nie jest wyłącznie dziełem Gazety, bo myśl, którą ona podniosła i której obecnie z godną uznania wytrwałością broni, kiełkowała od dawna we wszystkich warstwach społeczeństwa, i prędzej czy później musiała doprowadzić do dzisiejszego starcia. Gazeta ma tę wielką zasługę, że z powodów politycznych przyspieszyła starcie, do którego parły nas już oddawna stosunki społeczne. Widok ludu wiejskiego, pojonego, demoralizowanego i lichwą rujnowanego przez żydów oddawna obudzał smutne refleksye. Ale dopóki żydzi nie zdradzali tak wyraźnie swojej niechęci dla kraju, wahano się użyć środków zaradczych, bo dziś wolno bezkarnie uderzać na jakiekolwiek wyznanie chrześciańskie ale z żydami trzeba być bardzo oględnym, jeżeli komu niemiłym jest zarzut zacofania. Judaizm rozpanoszył się w całej Austryi tak potężnie jak w żadnym innym kraju europejskim. Opanował on już dawno prasę, giełdę a nawet stał się i w parlamencie decydującym czynnikiem.

Jakiż cel rozumny ma nasza walka ekonomiczna z żydami? Czy staną się oni potulniejsi, jeżeli nie pozwolimy im dłużej wyzyskiwać naszej gnuśności i zagnieżdżać się po karczmach, zkąd arendarz niszczy i demoralizuje całą ludność dokoła wikłając ją w sidła wyuzdanej lichwy? Na razie postępowanie takie wyda się może tylko drażnieniem namiętności społecznych, zwiększeniem przepaści pomiędzy całemi warstwami społeczeństwa, ale skutek ostateczny wyjść musi na naszą korzyść. Dlaczegóż żydzi mają monopolizować nasz handel i przemysł? Potrzeba było już dawno wyswobodzić się tego monopolu a jeżeli wrodzona gnuśność nie pozwalała nam dotąd wyzyskiwać dużo zapomnianych źródeł zarobkowania, to nikt nie może wziąść nam za złe tego, że pomyśleliśmy raz przecież o naprawie złego. Że spiskowanie żydów ocknęło nas z dotychczasowej gnuśności i zachęciło do wyzwolenia się z narzuconych więzów, to bynajmniej nie nadaje sprawie cechy nielegalnej. Czyż dalej nie było obowiązkiem inteligencyi a w pierwszym rzędzie dziennikarstwa zwrócić uwagę ogółu na klęskę społeczną, jaką jest demoralizacya i ruina ludności wiejskiej oddanej na pastwę lichwiarzy żydowskich? Smutna rzecz, żeśmy jeszcze dotąd nie wzięli się do dzieła poprawy, że potrzeba było aż otrzymać policzek od żydów, ażeby ocknąć się z niedbalstwa, ale i to także nie zmienia stanu rzeczy i nie nadaje prawa cechy nielegalnej. Żydzi zaś narzekając na ucisk i prześladowanie dowodzą tem tylko, że dla nich wstrętną jest uczciwa praca i prosta droga zarobkowania, czego im w obec ustaw obowiązujących nikt wzbronić nie może.

Nasi liberały śmieją się z rozpoczętej walki ekonomicznej i nie wierzą w jej powodzenie. A przecież trzeba być chyba ślepym, ażeby już dzisiaj nie widzieć skutków pożytecznych. Wielu obywateli ziemskich zwróciło uwagę na demoralizujący wpływ dzierżawców swoich karczem i pozbyło się niegodziwych pijawek. Co raz więcej wzmaga się liczba kas zaliczkowych po małych miasteczkach i po wsiach a każda taka kasa, ocala przynajmniej kilku włościan od utraty mienia. Wzrasta także liczba uczciwych sklepów chrześcijańskich, bo powoli przełamuje się uprzedzenie, że w sklepie żydowskim można dostać towar równie dobry za połowę ceny. Że sami żydzi nie lekceważą tego prądu, dowodzi najlepiej rozpaczliwy memoryał, o którym wspomnieliśmy powyżej.

Z incyatywy kilkunastu znanych w kraju osobistości odbyło się u nas niedawno zgromadzenie znakomitszych obywateli ziemskich, mieszczan, literatów i t. d. Celem zgromadzenia był rozbiór projektu, ażeby kraj zbiorowemi siłami nabył na własność jeden obraz Jana Matejki. W zgromadzeniu nie odezwał się ani jeden głos przeciwny projektowi, lecz owszem, postanowiono pójść dalej i zakupić dwa obrazy znakomitego malarza krakowskiego. Artysta wziął niezawodnie największy udział w wykonaniu tego pomysłu, bo zniżył cenę za swoje arcydzieła do najskromniejszej stopy, prawie połowy rzeczywistej wartości. Byłby to wspaniały dar kraju dla sali sejmowej.

W naszym świecie literackim, po długim, bardzo długim zastoju, obudził się nagle ruch niepospolity wskutek równoczesnego pojawienia się dwóch nowych pism literackich: Tygodnia i Ruchu literackiego. O zapowiedzianych pismach wyrokowano już z góry stanowczo, chociaż prócz sympatyi i antypatyi osobistych nie było do tego żadnej podstawy. Ruch li-

teracki przed pojawieniem się pierwszego numeru Tygodnia miał nierównie większą sympatyę niż jego współzawodnik, a to dzięki swojej firmie. Tydzień jest własnością księgarza Richtera i Rogosza, a Ruch literacki własnością księgarzy Gubrynowicza i Szmidta. Pierwsza firma nie posiada wielkiej sympatyi do tego, że nadto hołduje spekulacyjnej stronie przedsiębiorstwa księgarskiego, i długo zasypywała cały kraj taniemi pismami i książkami niemieckiemi.

Nie wymagamy i nie możemy wymagać od księgarzy, ażeby byli mecenasami pełnymi ofiarności, więc nie bardzo gorszymy się zarzutem powyższym. Jeszcze więcej dziwi nas uprzedzenie objawione na niekorzyść Tygodnia z tego powodu, że p. Rogosz jest jego współwłaścicielem i odpowiedzialnym redaktorem. Nie przeczymy, że p. Rogosz nie posiada stanowiska literackiego, któreby nadawało kompetencyę do redagowania pisma literackiego, ale pod tym względem istnieje zupełna równowaga pomiędzy Tygodniem a Ruchem literackim, którego redaktor p. Bronisław Zawadzki znany jest tylko z fejletonów o teatrze i tłomaczenia Estetyki dra Lemckego. Mówi ono w prawdzie że, p. Rogosz po skandalicznych polemikach i procesach z p. J. Dobrzańskim redaktorem Gazety Narodowej, nie może i niepowinien liczyć na stosunki ze światem literackim. O tych polemikach i procesach pisaliśmy w swoim czasie i pewnie nie zachwycaliśmy się niemi. Nie musiały one jednak zachwiać w zupełności reputacyi p. Rogosza, skoro pozyskał sobie tych samych znakomitych współpracowników, których wypisał w swoim programie Ruch literacki, co więcej skoro w czasie owych polemik i procesów p. Rogosz był wspólnikiem wydawcy Ruchu literackiego w wydawnictwie Biblioteki powieści i romansów. Ale pomijamy ten fakt, bo powodzenie wydawnictwa literackiego nie było nigdy ani jest nagrodą za wzorowe obyczaje a publiczność pewnie nie będzie zważać na charakter wydawcy i nie poprze prenumeraty Ruchu literackiego, jeżeli nie zasłuży sobie na to doborem artykułów i dobrym kierunkiem.

Walka obu obozów wzmogła się po wydaniu pierwszych numerów obu pism. Tydzień na swoje szczęście czy nieszczęście wyprzedził współ zawodnika aż dwoma numerami; na szczęście, bo wcześniejsze wydanie pierwszego numeru jest ważnym warunkiem powodzenia, a na nieszczęście, bo stał się ofiarą stronniczej, namiętnej krytyki. Zwolennicy Ruchu literackiego wysilali swój zmysł krytyczny a raczej złośliwość krytyczną, ażeby każdego przekonać, że Tydzień jest nędznem piśmidłem. Ale daremne były te usiłowania. Faktem jest, że pierwszy i drugi numer Tygodnia zaimponował naszej publiczności szeregiem prac niepospolitych, i zręcznym układem materyału. Można zarzucić usterki niejednemu artykułowi, można nawet niektóre z nich nazwać słabemi, ale mimo to wszystko wydawcy mogą być pewni, że zyskali uznanie u publiczności.

Po tak ostrej krytyce pierwszych numerów Tygodnia spodziewaliśmy się że redakcya Ruchu literackiego wysili się, ażeby przynajmniej w pierwszym numerze prześcignąć Tydzień. Pojawił się wreszcie pierwszy numer i — zaledwie dorównał Tygodniowi. Jest on także obfitym w różnorodne artykuły, ujmuje czytelników współpracownictwem głośnych pisarzy, nie ustępuje współzawodnikowi co do ponętnej formy ale także niczem szczególnem od niego się nie wyróżnia.

Uwagi o kierunkach obu pism zastrzegamy sobie na czas późniejszy, gdy szereg wydanych numerów pozwoli rozpatrzeć się bliżej w ropoczętych pracach. Na teraz życzymy obu pismom, ażeby wkrótce liczyły tysiące prenumeratorów. Każdy bezstronny widz tej walki podziela zapewne nasze życzenia, bo byłby to dowód, że koło czytelników w Galicyi rozszerzyło się wreszcie w sposób odpowiedni ogólnej cyfrze ludności Gdyby wydawcy obu pism pozbyli się błędnego zdania, że w Galicyi tylko jedna peryodyczna publikacya literacka utrzymać się może, nie bylibyśmy dziś świadkami tej niemiłej walki o chleb. Długo prowadziły taką samą walkę pisma publiczne, bo mniemano, że tylko jedno z nich może we Lwowie wychodzić z powodzeniem materyalnem. Dziś oba mają sporą liczbę prenumeratorów chociaż przybył nowy współzawodnik, dziennik rządowy, który od czasu zmiany Redakcyi zyskuje coraz szersze koło czytelników.

Sprawą teatralną moglibyśmy zapełnić cały numer Tygodnika bo zbiegają się w niej wszystkie zawikłania i bałamuctwa, jakie sprowadzić może kilku prawników szukających sposobności do podnoszenia kwestyi spornych, kilku artystów powołanych do wspólnego kierownictwa a stawiających sobie na każdym kroku najrozmaitsze trudności, wreszcie kilku dziennikarzy, naciągających całą sprawę do własnego zdania a może nawet interesu. Po długich walkach jawnych i zakulisowych rozbitą została dotychczasowa spółka artystów powołana do kierownictwa. P. Woleński otrzymuje od Namiesnictwa kocesyą na dawanie przedstawień i prawnie stał się dyrektorem w pełnem tego słowa znaczeniu. Faktycznie atoli sceną naszą kierują trzej artyści: pp. Woleński Habers i Konarski. Na czem skończy się cała historya teatralna, tego najbystrzejszy i najlepiej poinformowany świadek nie mogłby przepowiedzieć. Na razie scena wystawioną została na straty dotkliwe, bo może nie otrzyma od Sejmu wyższej subwencyi, której przed rozpoczęciem goszczących walk domowych dyrekcya słusznie mogła się spodziewać. Dziś trudno wymagać, ażeby przedstawiciele kraju szafowali groszem publicznym nie mając potrzebnej rękojmi, że przyczyni się tem do osiągnięcia pożytecznego celu. Jak dalece publiczność nasza jest zgorszoną ustawicznemi sprawami teatralnemi, wskazuje najlepiej ten fakt smutny, że p. Adam Miłaszewski, któremu po tylu zabiegach i ku ogólnemu zadowoleniu wydarto z rąk dyrekcyę przed dwoma laty, dziś mógłby wrócić na stracone stanowisko bez wszelkiej obawy. Słyszeliśmy już nieraz, jak niejeden z największych niegdyś przeciwników dyrekcyi p. Miłaszewskiego wyraził za nim tęsknotę całkiem otwarcie.

B. Ł.

Przegląd literacki.

Rodzina przez Pawła Janet, dzieło uwieńczone przez Akademiją francuską, przełożone przez Karola Forstera na język polski dla matek Polek. Wydane po raz trzeci w Berlinie.

Dziełko to składa się z dziesięciu lekcyi publicznych, mianych przez autora, w których przedstawił rodzinę w prawdziwem jej świetle, nie jaką jest, ale taką jaką być powinna, oraz znaczenie jej odnośnie do społeczeństwa.

Janet wygłaszał swoje lekcye wtedy, kiedy rodzina była zagrożoną przez niebezpieczne nowatorstwa, a z nią społeczność w swych posadach.

Podzielamy przeto myśl autora i sprzyjamy zacnym jego dążnościom, znajdując w nich zupełną konsekwencyą, z wyjątkiem tego paragrafu, w którym autor mówi o wychowaniu córki, a to dla tego że dzisiaj inne są potrzeby społeczeństwa i w innych warunkach żyje kobieta, wychowanie jej zatem nie może zamykać się w granicach, jakie jej autor zakreślił.

Rodzina, według autora, jest-to instytucya społeczna w swoim pierwotnym składzie; jest-to stowarzyszenie siły ze słabością, rozumu z niewiadomością, ażeby jedne przewodniczyły drugim. Osoby wchodzące wskład tej instytucyi, przymiotami swemi wzajemnie się dopełniają. I tak: ojciec posiada siłę, aby zasłaniał rodzinę przed niebespieczeństwem, i tyle zdolności umysłowej, aby zabezpieczał jej byt materyalny: matka ma tyle słodyczy charakteru, aby umilała wspólne życie, i tyle uczucia, aby dom swój zrobiła przybytkiem szczęścia i pokoju.

Własności rozumu mężczyzny i kobiety podobnież uzupełniają się przez połączenie: rozum męzki rozciągły, głęboki, silny, zdolny do syntezy; rozum kobiecy żywy i subtelny, zdolny do analizy; mężczyzna tworzy wielkie plany, widzi cel i wie *co* mu czynić należy; kobieta spostrzega szczegóły, środki i wie *jak* czynić należy; mężczyzna zdobywa wiedzę, wytwarza nauki; kobieta przyswaja i zastosowywa je do praktyki.

Przewaga siły i rozumu mężczyzny daje mu przywilej władzy w rodzinie; jest ona niejako prawodawczą z tego względu szczególniej, że rodzina składa się z dzieci i sług, którymi trzeba rządzić i kierować, i za które odpowiedzialność względem społeczeństwa na niego spada; co do żony to ona wynagradza sobie władzę męża, panując sercem nad nim, i wywierając szlachetny wpływ na jego wolę.

Obowiązkiem jest mężczyzny, właśnie z tytułu jego władzy, opiekować się rodziną; działalność więc w jak najobszerniejszym zakresie, jest głównem jego zadaniem; jego żona i dzieci żyją owocem tych samych prac, którym społeczność zawdzięcza swoją cywilizacyę i postęp.

Kobieta pracowitością i rządem zwiększa wartość pracy męża, oszczędza mu ją; częstokroć przez swą zapobiegliwość, ratuje życie i honor jego, oraz zabezpiecza byt dzieciom swojem.

Gospodarstwo domowe, to królestwo kobiety; tu pole obszerne dla jej cnót, i szranki najodpowiedniejsze dla jej rozumu, owoce zaś zebrane z tej pracy, bynajmniej nie ustępują zasługom mężczyzny.

Interes tego ostatniego wymaga, aby uzupełniał nierzadko powierzchowne wychowanie swojej towarzyszki i podnosił ją pod względem umysłowym, aby zdolną była dzielić z nim pojęcia i dążności, które są zaszczytem mężczyzny.

Kobieta, z natury swojej czuła na głos rozsądku, szczególniej gdy mu towarzyszą życzliwość i zacność charakteru, hojnie spłaca to moralne przewodnictwo przywiązaniem i wiernością.

Dziecko jest uwieńczeniem i spójnią rodziny, jest celem jej bytu i zabiegów, ono łączy rodzinę ze społeczeństwem, która przysposabia mu członka.

Dla dziecka więc rodzina łączy wszystkie swoje zasoby: moralne, naukowe i materyalne. Tu role ojca i matki jakkolwiek różne, względem dziecka wzajem dopełniają się i uzupełniają.

Zadaniem ojca jest kształcić dziecię przez powagę władzy i przez rozum; zadaniem matki jest osiągać te same skutki przez pieszczoty i czułość. Tryumfem ojca jest podbić wolę dziecka przez uszanowanie, tryumfem matki jest to samo pozyskać przez miłość. Nadto jeszcze, ażeby ojciec nie nadużywał władzy swojej względem dziecka i nie krępował przez to jego naturalnego rozwoju, matka staje w obronie jego słabości i natury.

Ojciec uczy dziecko szanować obowiązki, matka kochać je; ojciec daje mu cnoty silne i męzkie, matka łagodne, wzniosłe i przyjemne; ojciec kreśli w bujnych zarysach szkic przyszłego człowieka, matka wykończa go ostatecznie i nadaje mu wdzięk.

W pierwszych latach dziecko jest głównie pod opieką matki; ojciec w tym czasie mało wywiera nań wpływu i zostawia sobie tylko ogólne kierownictwo, gdy na matkę cały ciężar wychowania spada; dla sła-

bej dzieciny ojciec jest czułym i pobłażającym; matka zaś przeciwnie więcej rozważną i wymagającą.

W miarę jak dziecko rośnie, każde z rodziców wraca do swojej roli naturalnej; ojciec staje się coraz poważniejszym i codzień więcej wymagającym; matka coraz więcej okazującą współczucia dziecku, staje po jego stronie i pośredniczy pomiędzy nim a ojcem.

Tak to się równoważą podług okoliczności zadania ojca i matki w wychowaniu dziecka.

Ponieważ zaś śmierć zabiera częstokroć jedno z rodziców, muszą ci przeto przyswajać sobie zalety jedno od drugiego. Ojciec zastępując matkę, stara się naśladować ją pod względem czułości i troskliwości w najdrobniejszych szczegółach; matka zaś, gdy się znajduje w tem położeniu, przyswaja powagę i energiję ojca.

Jeżeli konieczną jest rzeczą ażeby synowie po odebraniu wychowania domowego, kształcili się w zakładach naukowych, to pożądanem jest aby córka pod okiem rodziców przysposabiała się do czekających ją obowiązków w nowej rodzinie.

Tu autor przedstawia o ile jest trudniejsze wychowanie córki aniżeli syna dla którego świat jest łaskawy i pobłażający, gdy przeciwnie dla kobiety surowy, częstokroć niesprawiedliwy, a zawsze wymagający; ale stanowisko córki określa jako istoty biernej i nie przysposabia ją do owej trudnej roli, jaką nadaje jej dzisiejsze społeczeństwo.

Z resztą sam autor wyznaje (str. 140) że jest sędzią niewłaściwym w tym względzie, i że tylko porządek tych studyów zmusza go do mówienia o wychowaniu córki; z resztą dodaje że owe studya są tylko próbami, które poddaje pod sąd doświadczenia słuchaczy, aby je uzupełnili i poprawili.

Korzystając z tego pozwolenia, skreślimy tu pobieżny rys wychowania córki, nie roszcząc bynajmniej pretensyi do nieomylności.

Pragniemy aby kiedyś przyszło do tego, żeby szkołą córki mógł być jej dom rodzicielski, aby postępowanie ojca i matki było dla niej najwymowniejszą nauką i żeby naśladując ich, przyspasabiała się do swojej przyszłej roli.

Aby się pod okiem matki uczyła gospodarstwa, oszczędności, pracowitości, porządku dobrego i rozumnego obejścia się ze służącymi i tym podobnych zaletniezbędnych dla gospodyni domu.

Aby córka widząc uprzejme, szczere i pełne godności postępowanie matki z ojcem, zawczasu nauczyła się dobrą być żoną; troskliwość nadto rodzicielska około jej potrzeb moralnych i materyalnych, oraz sposób postępowania z jej młodszem rodzeństwem, aby posłużyły jej za wskazówki jak się ma obchodzić w przyszłości z własnemi swojemi dziećmi.

Co zaś do umysłowego wykształcenia córki, tu także, zdaniem naszem, rodzice muszą się wzajemnie dopełniać. Ojciec obznajmiłby ją z dziełami natury, z historyą ludzkości, rozwojem cywilizacyi; wskazałby cel, do którego dąży ludzkość, przedstawiłby jej potrzeby społeczeństwa i własnego jej kraju.

Matka powiedziałaby jej, że natura, wspólna rodzicielka nasza, przeznaczając dla wszystkich ludzi jednakie potrzeby i prawa, związała nas węzłem solidarności i braterstwa, i dla tego to wlała w serca nasze uczucie ludzkości; nauczyłaby serdecznego współczucia dla wszystkich, szczególniej zaś dla nieszczęśliwych i cierpiących; powiedziałaby jak korzystać z wiekowych doświadczeń, które nam historya przechowała, i nakoniec wskazałaby jak ma zastosowywać wychowanie przyszłych obywateli do potrzeb swojego kraju. A że obecny stan społeczeństwa nie jest normalny, ponieważ wiele osób żyje po za obrębem rodziny, przeto obok najstaranniejszego wychowania córki, trzeba jeszcze usposobić ją specyalnie do jakiego zawodu, aby zapewnić jej tem byt samodzielny.

Zgadzamy się najzupełniej z autorem w tem, że w rodzinie zadanie matki trudniejsze, szczególniej względem córki, i pracowitsze aniżeli ojca; lecz jej działalność jako gospodyni, wychowawczyni i nauczycielki nie przechodzi bezpośrednio za obręb rodziny, gdy tym czasem ojciec, oprócz obowiązków względem domu i dzieci, dźwiga jeszcze urzęda krajowe, pracuje bezpośrednio dla społeczeństwa w którem żyje, lub walczy w jego obronie.

Podział więc pracy, obowiązków, trudów i cierpień pomiędzy mężczyzną i kobietą równy, i to właśnie jest powodem dla którego powinni się łączyć z sobą, aby się wzajemnie dopełniać, wspierać, pocieszać, i osładzać troski życia.

Autor „Rodziny“ wyprawia wcześnie syna do szkół. Zgadzamy się na to jeśli tego okoliczności wymagają; jednakże chcielibyśmy go jak najdłużej zatrzymać pod ojcowskim dachem.

Skoro *umiejętne wychowanie*, pod okiem rodziców, lub przez nich samych, rozwinęłoby jego siły fizyczne i umysłowe, a uczucie, rozum i wyobraźnię sprowadziłoby do możliwej równowagi: gdy założyłoby podwaliny wiedzy, wskazało jej kierunek i cel, natenczas posłać go do szkół publicznych, aby zdobywał ową wiedzę, do której przyjęcia został usposobiony w domu.

W szkołach publicznych, mówimy w myśl autora, młody człowiek kształci się specyalnie w obranym zawodzie i zarazem uczy się życia towarzyskiego: zawiązuje stosunki przyjaźni, koleżeństwa, nabiera odwagi, hartu duszy, siły charakteru, samodzielności, słowem kształci się na dzielnego pracownika i pożytecznego krajowi obywatela; potem wychodzi w świat, aby o własnych siłach rozpoczął życie. Tu spotykają go zawody, trudy i owe walki życiowe, które z młodzieńca pełnego ułud i nadziei, robią wytrawnego i doświadczonego męża. Czy już zadanie rodziny skończone względem niego, zapytuje autor, czy i węzły łączące go z nią zerwane? Bynajmniej.

W prawdzie świat usiłuje wydrzeć z serca młodego człowieka zasady, jakie wyniósł z domu rodziców, ale jeżeli, powiada autor, te zostały głęboko ugruntowane, to człowiek choćby chwilowo zapomniał o rodzinie i stanął nad brzegiem przepaści, jeszcze nie jest zgubionym; jeden list od ojca, jedna myśl o łzach matki zatrzymają go, a gdyby zabrakło rodziców, to samo wspomnienie o nich jest jeszcze dość silne aby go powstrzymało od złego, tem bardziej że nie ma już ich, aby mu przebaczyli.

Rodzina zdaleka czuwa nad swem dzieckiem, a gdy udręczone, zbolałe i poniżone życiem wróci do niej, ona tuli go do swego łona, pociesza, uspokaja i podnosi.

W rodzinie wszystko jest harmoniją i wzajem się dopełnia: tu brat najtkliwszą przyjaźnią otacza siostrę, wspiera ją swym rozumem, a wrazie sieroctwa zastępuje jej miejsce ojca; siostra mu się wywzajemnia przez swoje słodkie przywiązanie i ten wdzięk, jaki mu swojem towarzystwem bezwiednie nadaje.

Przywiązanie do rodziny staje się miłością ludzkości, tu autor robi największy nacisk. Mało jest rodzin, tak mówi dalej, któreby przez członków swoich nie dotykały ostatecznych stopni skali społecznej, ztąd uczucie braterstwa rozchodzi się na naród cały, *tu to jest prawdziwe znaczenie wpływu rodziny na społeczeństwo.*

Jeżeli życie społeczne streszcza się w rodzinie, natenczas jest ono jędrne i silne; ona uświęca i uszlachetnia związki pomiędzy ludźmi; w niej wszystko się opiera na serdecznej przyjaźni i wzajemnej wymianie usług; po za nią wszystko jest tyraniją i hańbą. I dlatego to jeżeli rodzina upada, społeczność się rozprzęga i osłabia.

Tym ostatnim myślom autor większą część książki poświęcił, za co mu się najwyższe należy uznanie oraz panu Forsterowi, że to cenne dzieło przyswoił naszej literaturze.

Z tego względu podzielamy życzenie tłomacza, aby owa książka znajdowała się w każdym domu polskim, tem bardziej, że w tłomaczeniu język czysty, rzec nawet można wytworny. *K. Z. Odyniec.*

Przyjaciela Dzieci Nr 44 wyszedł z druku i zawiera:

Ostatnia wyprawa do północnego bieguua. (dokończenie) Za domem, napisała Jadwiga Chrząszczewska. (c. d.) Źródło (wiersz) — Pogadanki z Ojcem. — Opowiadania z prawdziwych wydarzeń. — Czyny nauczające. — Rozmaitości. — Szarada. — Zagadnienie arytmetyczne. — Znaczenie szarady. — Objaśnienie zadania gramatycznego. w Dodatku: Helenka w pokoju Babci (z drzeworytem) — Dla Józia (wiersz) — Dwie gromadki. — Dobry Walerek (wiersz) — Od kogo kotku masz sukienkę. — Dąb i Wierzba (wiersz) — Sokół wężojad (z drzeworytem).

Prenumerata kwartalnie wynosi:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Żabia Nr. 956.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami,

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.